

Mama umiejętnie grała Janowską

Rozmowa

W tych wierszach Alina wyrusza na ostatni objazd. Nie wiem, czy zrobiłem to dla niej, bo wtedy już nie miała świadomości bycia tu i teraz – mówi **Michał Zabłocki**, syn **Aliny Janowskiej**, chorej na Alzheimera

Katarzyna Kachel
redakcja@polskatimes.pl

„Pisz synu pisz/ bo ja już niewiele pamiętam”.
Tak było?

Nie, to fikcja.

Nie uciekał Pan przed pisaniem o mamie?
Nie.

Jaki był zatem początek „Janowskiej”?

Trudno mówić o jednym konkretnym początku, bo już dawno zbierałem się, by napisać o mamie, tyle że jakoś nie wychodziło. Pierwszy raz ta myśl zbiegła się chyba z momentem, kiedy gdzieś 10 lat temu mama postanowiła wydać książkę. Robiła notatki, one rosły, rozmnażały się, w których już wtedy zaczynała powtarzać te same historie, choć my nie odczytywaliśmy tego wówczas jako objawu choroby.

Bo dość umiejętnie „grała Janowską? Wkuwała siebie na pamięć”, jak Pan pisze?

Tak było. W tajemnicy uczyła się swojej najtrudniejszej roli. Oszukiwała nas, a myśmy długo traktowali to gubienie jako coś normalnego. Bo to naturalne, że z wiekiem coraz więcej ucieka nam z głowy. Do księgarń ostatecznie trafiła biografia „Jam jest Alina” napisana z Dariuszem Michalskim. Ale mama nie była z niej zadowolona.

Dlaczego?

Bo za dużo w niej dat i faktów, za mało Aliny. Jej prawdziwego życia, rodzinnych opowieści, emocji. Sama już jednak nie była w stanie wziąć się za pisanie. I wtedy stwierdziłem, że choć sytuacja jest ciężka, burzliwa, choroba bowiem odbierała nam mamę coraz bardziej, to najlepszy moment, by zacząć.

Było ciężko?

Nie, nie było ciężko. Starałem się ułożyć historię o mamie, o jej życiu i chorobie. O Janowskiej, jaką znam, jaką mi się przez te wszystkie lata pokazała.

„Naprawdę trudno się o Tobie pisać/Leżysz w chmurach pościeli/i spoglądasz na nas z góry niewidzącymi oczyma”. Jak było naprawdę?

W sensie literackim łatwo. Bo kiedy już znalazłem formę i poukładałem sobie wszystko w głowie, szło z górki. I tym łatwiej było w przypadku wierszy, które wyglądają na trudne, bolesne czy sentymentalne. Bo ja już to wszystko wcześniej przeżyłem, ułożyłem się z tym, a w momencie pisania tylko to wyciągnąłem. I to była ulga.

Pisał Pan to dla siebie czy dla mamy? A może dla okazji, która się przydarzyła i Janowska „przestała być sobą”?

Alina zawsze mówiła „zrobmy coś razem”, jedźmy w trasę, napiszmy coś. I tak sobie pomyślałem, że to może być nasz wspólny projekt. Nieco inny niż planowaliśmy, ale jednak zrobiony przez nas, syna i matkę. Janowska wyrusza w nim na swój ostatni objazd po kraju. I po życiu. Wraca do dzieciństwa, do ojca, który umiał robić buty, i na róg Świętokrzyskiej i Jasnej, którą nosiła gar z kaszą dla szturmujących PAST-ę. Trudno mi powiedzieć, że zrobiłem to dla niej, bo przecież w tamtym momencie, kiedy te wiersze powstawały, ona już nie miała pełnej świadomości bycia tu i teraz. Wiedziała, że wydaję książkę, że ją promujemy, że ludzie przychodzą dla niej. Ale poszczególnych tekstów nie znała.

Nie czytał jej Pan?

Nie. Wierzę jednak, że gdyby była w pełni władz umysłowych, bardzo by się z tej książki cieszyła.

„Czytałaby je w drodze na koncerty i mówiła: Popatrzcie, jakiego mam syna, pisze o mnie legendę”?

Taka właśnie była, o czym się kiedyś przypadkowo dowiedziałem. Recytowała moje wiersze przypadkowym ludziom w pociągu, co było dla mnie żenujące.

„Kto ja jestem?/Spytałem mamę i usłyszałem wahanie [...]/trafię – nie trafię, trafię – nie trafię”.

Nie trafiła.

I stał się Pan Witkiem z powstania i mężem równocześnie.

Tak, tyle że Witek też się okazał nie z powstania. Witek to brat. Wiersz jest pewną konstrukcją, ale mechanizm w tej chorobie jest właśnie dokładnie taki; w miarę logiczne wiązanie pewnych sytuacji i rzeczy, które nie składają się na spójną całość. Gubienie imion, nierozpoznanie twarzy, nawet najbliższych, jest początkowo dość traumatyczne, zwłaszcza dla rodziny. Z czasem, kiedy zaczynamy się oswajać, wiemy, na co się przygotować, staje się to do przyjęcia.

Do przyjęcia?

A co można innego zrobić? Nie można się przez cały czas buntować.

„Janowska” składa się nie tylko z choroby, ale także z dzieciństwa i z czasu wojny. „Strach pomyśleć/więc może lepiej nie myśleć/Może lepiej zapomnieć”. Mama mówiła o tym, jak było na Pawiaku?

Niechętnie. Właściwie sączyła tę historię. Czasami to było jedno, może dwa zdania. Bo jak mówić o nocy, kiedy wszystkie kobiety rozstrzelano, a ona ocalała. O siedmiu miesiącach, które spędziła w więzieniu jako funkcyjna, i o tym, że kiedy wyszła, miała już wszystkie siwe włosy. Od tego czasu zawsze je malowała.

„Niby Pani ocalała/ a świadectwo marne”. Alina załowała, że nie była aktorką wyklętą?

Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, a wiersz „Ocalałaś nie po to, aby żyć” jest próbą rozliczenia się do bólu z przeszłością. Taką bardzo współczesną próbą. Z dzisiejszej perspektywy żołnierzy niezłomnych. Mama brała udział w rekonstrukcji Warszawy, śpiewała piosenki, jeździła po zakładach pracy, potem po domach kultury, a jeszcze później po salach koncertowych. Jeśli się temu przyjrzeć, można postawić pytanie, czy to już jest kolaboracja? Jako znana i lubiana aktorka siłą rzeczy by-



▶ Alina Janowska i Michał Zabłocki, lato 1967

ła przecież pupilką systemu. Stawiam to pytanie mocno. Bez rodzinnych uników.

Trudno było być synem Janowskiej? Mielście mięso spod lady?

No pewnie. Mama jeździła po sklepach, robiła zakupy, przywoziła te wszystkie kiełbasy czy sery, po które chodziła na zaplecze spożywcaków. Myśmy się wtedy nie zastanawiali, skąd to jest. Cała sytuacja tego gwiazdowania nas żenowała. Czy było trudno? Nie jestem w stanie tego ocenić. Nawet nie wiem, do kogo miałbym nas porównywać. Każdy wówczas żył na jakimś patent. Bo żeby przeżyć, trzeba było mieć patent. Mama szła „na maskę”, jak to się nazywało.

Była dla Pana postacią z telewizora? Panią od „Podróży za jeden uśmiech” i „Wojny domowej”?

W przedszkolu, kiedy mnie pytano, kim jest mama, mówiłem, że pracuje w ogródku. I faktycznie w nim kopała, by wrócić do formy po urodzeniu mojej młodszej siostry Kasi. W podstawówce to się oczywiście zmieniło, wtedy już się chwaliłem, że jest znaną aktorką.

Której rzucaliście kłody pod nogi, a ona mówiła to swoje: „weź siekierę i mnie zabij”?

Nie byliśmy jakoś wyjątkowo krnąbrni, choć czasami przeciągaliśmy strunę. Co dla mamy, która w dzień pracowała zawodowo, a w nocy sprzątała po gosposi (bo robiła to oczywiście lepiej), było nie do wytrzymania.

„Mało się znaliśmy/stanowczo za mało”. Dobrze Pan znał mamę?

To oczywiście pointa tej sytuacji, w której się wszyscy nagle znaleźliśmy. Nigdy nie jest za dużo, kiedy w grę wkracza silny mechanizm zapomnienia, zdefiniowany jako jednostka chorobowa. Jak zapominać, to zapominam. Niezależnie od tego, co wcześniej wiedziałem. Nie da się tego zniwelować, poznać kogoś na zapas, żeby zostało na stare lata.

Pisze Pan, że u Pana też się zaczęło. „Zapominanie imion, nazwisk, dat urodzin dzieci”.

Było od zawsze. I kiedy siostra powiedziała: idź, przebadaj się, bo ty przecież cały czas czegoś nie wiesz, poszedłem na specjalistyczne testy. Fatalnie wypadłem, ale nie dostałem skierowania na tomograf czy

rezonans, więc może nie jest najgorzej. Zresztą usuwanie jest częścią mojej pracy. W momencie, kiedy coś napiszę, chcę to od razu wymazać.

Dla higieny?

Tak. Wiersze pisze się z dnia na dzień i nie są to obszernie dzieła. Ani to powieść, ani scenariusz, które wymagają piętrowych konstrukcji, matematycznych schematów. Co tu dużo mówić, taki wiersz potrzebuje momentu natchnienia, jakiejś szczególnej chwili tu i teraz. I gdybym cały czas wracał do tego, co kiedyś napisałem, to bym się w tym powracaniu utopił. Dlatego wypracowałem w sobie trudny mechanizm zapomnienia.

Mamy nie chce Pan zapomnieć. Nie chce jej Pan „oddzielać od tamtej Aliny”, choć przecież sama już się oddzieliła, jak Pan pisze. To mój ulubiony wiersz, a Pana?

Trudno byłoby mi wybrać. „Janowska” to dla mnie jedna, całościowa historia. To tak jak w moim pamiętaniu mamy. Raz ważne jest dzieciństwo na Kresach, potem okupacja, potem aktorstwo, estrada, innym razem któryś moment choroby, kolejna jej odsłona.

Dużo było tych odsłon?

Kilka. Był moment wychodzenia na światło dzienne rodzinnych tajemnic, wyjawiania grzeszków, śpiewania piosenek warszawskich i żoliborskich, recytowania wierszy Gałczyńskiego, cytowania swojej dziecięcej rymowanki: „Ja jestem Alusia trajlusia, wiercipięta Janowska Alusia” i tak dalej. Przechodziłem z nią te wszystkie okresy, równocześnie porządkując jej osobiste rzeczy. Stroje, zdjęcia, dokumenty z powstania, rakietki tenisowe czy zwykłe rachunki za telefon i gaz spięte porządnie w sporzych kupkach. Uporządkowałem Alinę.

Czy choroba, jaką jest Alzheimer, może nieść coś dobrego?

To trudna choroba i ciężko się z nią ułożyć. Może być traktowana jak koniec świata, może być traktowana trochę lżej. Jak trzęsienie ziemi. To zaburzenie, podczas którego opadały kolejne maski mamy. A kiedy opadły, stała wobec nas całkowicie bezradna.

Dokopał się Pan do głębszej Aliny?

Do najgłębszej. ● © ©